

Józef Ignacy Kraszewski



Zemsta Czokołdowa

Józef Ignacy Kraszewski

Zemsta Czokołdowa

Wersja demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2020

Józef Ignacy Kraszewski
„Zemsta Czokołdowa”

Copyright © by Józef Ignacy Kraszewski, 1871
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2020

**Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.**

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

**ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.**

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Wydawnictwo: „Gazeta Warszawska”
Warszawa, 1871

ISBN: 978-83-8119-774-8

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

TOM I.

Część górzystego i malowniczego kraju, ciągnąca się po nad granicą węgierską i zowiąca ziemią Spizką, najobojętniejszego nawet na obrazy natury człowieka pociągnąć musi czarownym widokiem... Piętrzące się wzgórza, rozlane szeroko i wstęgami wijące się wody Dunajca, zielone łąki, ciemne lasy poczepiane po gór stokach, gdzie niegdzie na wyżynie sterczące ruiny zamków i strzelające ku niebu wieżycy kościołków, Tatry w dali z jednej, Pieniny z drugiej strony, tworzą szeroki krajobraz, nad którym mimowolnie zadumać się trzeba.

A gdy obłokami pozawieszane niebo w dzień jasny i słoneczny rzuci plamami cieniów i snopami światła na wody, góry i lasy i umaluje to złotem a zielenią, szafirem i powietrznymi barwami, oku się od tego oderwać trudno. Majestatyczny, wielki to a rozległy pejzaż, wszakże smutny nieco i pusty.

Świat ten tak pięknie ubarwiony nie roi się ludem a pracą spokojną; zwierza i człowieka rzadko tu spotkasz. Po nad głowami przeciągnie ci czasem szary orzeł, płynący powoli, ospale, jakby od niechcenia z wiatrem gdzieś na żer i zdobycz, a na gościńcu czarny, opalony przesunie się cygan od Węgier, góral lub Słowak, śpieszący niewiadomo gdzie i po co i oglądający się po pustyni nieśmiało...

W końcu XVIII w. kraj ten jeszcze może dziczéj a straszniéj wyglądał; był to kąt jak pobojuwisko opuszczony, pełen starych wspomnień o bojach i łupieżach, mało zamieszkały i niepowabny. Po nad nim mury odrapane odwiecznego Czorsztyna, już naówczas stały na pół rozbite, osmalone i zczerniałe. Nie był on jeszcze jak dziś kupą gruzu i ruiną, ale się na tę śmierć gotował. Jak w ową górę nad San Germano, na której stoi klasztor Monte-Cassino, zwykły przechodzące burze zrzucać wszystkie swe pioruny, tak na Czorsztyn co lat kilka padał ów ogień z nieba, i ledwie dachy oprawiono, palił je lub rozbijał.

Podania ludu różnie tłómaczyły ten gniew boży; to pewna, że ani w Niedzicę, ani w okoliczne po górach zameczki, ani w Dunajec nie spadały pioruny tak często jak tutaj. W tych też czasach po dwukrotnym pożarze stał Czorsztyn już czekając tylko rychło też się rozpadnie. Nikt nie myślał o naprawie zamku, w którym nie było komu mieszkać.

Gniazdo to dla innego rodu ptaków założone, na nic się nowym nie zdało. Niegdyś z téj góry czatował rycerz może po nad węgierskim gościńcem na kupiecką karawanę, aby się na nią rzucić z wysoka; dumny panek nagrzeszywszy zamykał się tu pewien że go nie łatwo sprawiedliwość doścignie i pochwyci; spokojnym ludziom po nim mieszkać już smutno było i straszno.

Mury wyglądały jakby pobryzgane krwią zaschłą, ściany jakby podrapane rozpaczliwemi dłońmi, okna zdawały się otworami rozburzonego więzienia... Ludzi już tu nie było, ptactwo i zwierz powoli po nich obejmowały puściznę. Kiedy niekiedy stoczony głaz wzięto w dół na nową budowę, stary Czorsztyn wszakże jeszcze dumnie sterczał po nad okolicą, a przy nim i Niedzica i cały przestwór wzgórz wydawały się bardzo pokornie i ubogo. Arystokratyczna ruina, naga, odarta, z wyłupionemi oczyma, trupio pusta królowała jeszcze po staremu krajowi, którego niegdyś była postrachem.

Jeżeli we dnie nie łatwo tu było kogo spotkać, gdy zapadła noc, gdy nadszedł mrok, wielki gościniec węgierski i okolica milczały jak cmentarz. Rzadko kiedy cygańska banda rozpałała sobie ogień pod lasem i koczowała tém bezpieczna, że tu była sama. Podróżni zmuszeni udawać się tą drogą do Czerwonego klasztoru, do Krościenka lub też ku Krakowu, mierzyli tak dni swoje, aby zawczasu stanąć w gospodzie nim noc nadeszła. Niebezpieczeństwo od ludzi i zbójców włączących się po nad granicą, równało się utrapieniu, jakiego doznawano przebywając złe drogi, na których po ciemku nie trudno było o przypadek. Gościniec bowiem sam Pan Bóg utrzymywał, wybiły go wozy, wydeptały konie, wychodzili ludzie, zresztą ręka i praca do poprawy się nie przyłożyła. Po deszczach i ulewie, gdy wody ze wzgórz popłynęły drogą, często w nią wymyły przepaści, niejednen kamień co siedział w ziemi opłókanym dobył się na wierzch, a byle mrok jużes tego nie dostrzegł. Po tych więc wertepach chyba zagnalony a zuchwały wędrowiec, któremu o gardło szło, puścił się przeciw nocy. W gospodzie lichój zawsze bezpieczniej było niż w polu, choć tutejsze zajazdy, nawet przy osadach, dobrej sławy nie używały. Po nad granicami wszędzie włóczy się tałajstwa dosyć i wszelakich podejrzanych ludzi, którzy żyją z tego żeru, jaki po gościńcach łapia; gospody ich domowém, schronieniem, a gospodarze pomocnikami, boć to jedno drugiego warte. Szczególniej u granicy Węgier zawsze tego było dosyć, bo co się ztamtąd chronić musiało od miecza i postronka, szło tutaj, a ze Spiżu inni zmykali na Węgry dla

bezkarności. Dodawszy cyganów, na których tu nigdy nie zbywało, bo im góry i dziury a lasy wielce smakowały, można sobie wystawić, jak miłym pobyt być musiał. To też nie mieszkał tu nikt po dobrej woli, ani jechał dla satysfakcji i ów wspaniały obraz boży oglądały ino takie oczy pono co go nie były warte.

Trafiło się wszelako czasem, że się tędy i komuś lepszemu przemykać było potrzeba, ale nie bawił długo, a jak najrychlejsz mógł ten zakąt opuszczał.

Komu z dalszych stron przyszło się wlec tym gościńcem, zwykle tak mierzył czas, ażeby na noc albo do gospody u Czorsztyna nad Dunajcem zaciągnął, lub do Czerwonego Klasztoru pod Pieninami nadażył.

Właśnie nadchodziła już noc, a miało się ku jesieni i pora jakoś była mglista, gdy wóz ładowny na przedzie, z uczepionym za nim koniem pod deką, zatrzymał się u karczemki nieopodal od Czorsztyna stojącej. Na wozie oprócz dorodnego mężczyzny, dobrej tuszy, marsowego oblicza, z sumiastym wąsem, był olbrzymiego wzrostu woźnica i takiż człek ze służby, także szerokich ramion, nie licząc małego chłopaka, który uczepiony na drążku siedział rozpatrując się ciekawie do koła. Wóz był końmi pięknymi i zażywnymi zaprzężony, a snadź ich w drodzezczędzono, bo gładkie były i podróży na nich trudnoby kto poznał. Wóz, uprzęż, ludzie i pan wyglądali zamożno i porządnie. Rzadko się, widać, podobni goście tutaj trafiali, bo ledwie wóz przystanął, z karczemki i głowy i cali ludzie przez wszystkie otwory wyglądać zaczęli... a sam arendarz pośpieszył z obowiązku przeciw podróżnym z respektem wielkim. Nikt nie wątpił, zwłaszcza że już dobrze ciemniało, iż bryka ta zanocować musi. Ale oprócz chłopaka, który z drążka zeskoczył, drudzy się nie brali jakoś do złączenia, a pan się jeno raz oglądawszy, skinął na arendarza. Ten przystąpił submittując się.

— Daleko do Czerwonego klasztoru? Zapytanie to o porze spóźnionej tak dziwnie brzmiało w uszach żyda, iż mu je powtórzyć było potrzeba, nim je zrozumiawszy, ruszając ramionami, odpowiedział:

— Do Czerwonego klasztoru? Aj! aj! drogi kawałek! a kto tam po nocy pojedzie!

— Co za noc! odparł podróżny z wozu: ledwie zmierzch... konie wypoczęły.... godzina a choćby półtorą... A droga dobra?

Żyd jakby mimowolnie ramionami zżymał; zdawało mu się czémś osobiwszém, by kto o téj porze, nieznanym krajem chciał się

puszczać dalej.

— Czy jasny pan chce jechać? zapytał złamanym językiem.

— Nietylko chcę, ale muszę, zawołał z wozu podróżny... a jeśli droga nic potém, przecież przewodnika znajdę.

Arendarzowi wszystko to musiało się niezmiernie dziwném wydawać, a snadź łatwiej mu było ramionami ruszać niż się rozmówić.

— Tu nigdy nikt przewodników nie bierze, bo w dzień nie ma jak zbłądzić, a po nocy, przepraszam pana, ktoby tu jechał?....

Pan się rozśmiał i splunął jakby z gniewu.

— Hryszka! zawołał, skocz mi pierwszego lepszego chłopca weź, to nas przewiedzie.... a dłużej bałamucić szkoda czasu. Chcesz, bym u ciebie zanocował! śmiejąc się dodał: a toż wolę trochę się przejechać, przynajmniej w Czerwonym klasztorze izbę ludzką mieć będę.

Żyd ruch ręką uczynił, jakby mu to było wszystko jedno, i krok odstąpił; chłopak, który się Hryszka nazywał, już miał skoczyć do wsi, gdy do wozu zbliżył się w kapeluszu góralskim stary człek z kijem w rękę... pomarszczony, żółty, z włosami długimi jakby przylepionymi do głowy, i kiwnąwszy na bryce siedzącemu półukłonem, spytał:

— Pan do Czerwonego klasztoru chcesz? Po nocy!

— Co mi to za noc? ledwo wieczór.

Chłop popatrzał po niebie i po podróżnych..

— A wy to zkad? zapytał pan.

— Niedaleko, ze Sromowiec paneńku.

— Znacie drogę?

— Ktoby jój tu nie znał!

— To prowadźcie....

Zadumał się stary... poskrobał po brodzie, spojrzał na żyda, westchnął, nieraźno mu było odpowiedzieć... Żyd na niego popatrzał, czy mu dał znak, czy się tak zdawało, zawahał się stary.

— A jużci, jak pan zapłaci! czemu nie?

— Zapłacę... siadaj na wóz... bo się ciemni.

— Ino węzełek zabiorę, szepnął chłop ciągle jakoś niepewny... Hryszka go popchnął żywo, poszedł trochę śpiesznie do gospody, a żyd jakby nie było też tu co robić, pociągnął za nim.

Woźnica się obejrzał ku panu.

— Ej! jaśnie panie, rzekł... to czartowskie drogi.. a i chłop... kto zna? a na biedę nie wiele potrzeba.....

— Czyż ty stchórzysz Janku! rozśmiał się pan...

Woźnica się obejrzał, węża pokręcił tylko....

Tymczasem na bryce siedzący pomacał koło nogi, brzęknęła szabla, ujął się za pas, widać było parę pistoletów za nim... Służący też roztworzył płaszcz, jakby się chciał poprawić i ręką swoje pistolety oba do góry nieco wysunął.... Hryszka patrzył i jakoś mu te nieme przygotowania dziwnymi się zdały.... A chłop też długo się w karczemce zabawiał....

Wyszedł wreszcie z głową spuszczoną, a choć podróżni nie widzieli tego, jeszcze wprzód nim on, tyłami, ogrodem wysunął się żydziak przychylając się, i zbliżył co żywo nad Dunajec. Co się dalej z nim stało, dostrzedz było trudno... Chłopa wsadzono na brykę, i choć coraz ciemniało na dworze, woźnica cmoknął i konie dobrym kłusem ruszyły.

— Héj! héj! ozwał się chłop zaraz... O kłusie nie myśleć, droga powyrywana, noga za nogą, bo będziemy leżeli.. jak lepsza nastanie... ja oznajmię...

Nic nie odpowiedziałwszy woźnica liców zwolnił i stępo szły poważne konie, gościńcem po nad Dunajcem, a krok miały tak spory, że wkrótce wioskę i zamek zostawili za sobą i wjechali w pustą okolicę... a wielkie milczenie otoczyło ich na pustkowiu.. Noc coraz się stawała ciemniejsza, chmury czarne, poszarpane gnały się po niebiosach, i wicher niekiedy jakby w złości coś zawył.

Wszyscy milczeli, oprócz samego pana, który niekiedy poświstywał. Po jakimś czasie przewodnik siedzący na wozie, mimo iż znaczniejszy gościniec szedł prosto, kazał się wciąż kierować na lewo, a pod kołami czuć było można zaraz, że na mniejszą i nieubitą drogę skierowano, Woźnica Janek miał jakąś wątpliwość, zawahał się zwracając ku panu, który ręką tylko skinął, i jechał dalej... Wkrótce owa drożyna jakby wąwozem wymytym, weszła w zarośla gęste. Tuż zaczynał się jodłowy las, rzadki, ale ciągnący się gdzieś daleko po obu stronach. W lesie stało się ciemniej jeszcze. Konie musiały iść noga za nogą i pryskały jakoś jakby wystraszone. Woźnica czuł, że mu co chwila nie śmiejąc się wstrzymać, przystawały, jakby niepewne co począć z sobą. Przewodnik milczał.

— Ale coś ja téj drogi i tego lasu nie pamiętam, ozwał się wreszcie poruszając się na siedzeniu pan, i uderzył po ramieniu przewodnika, który drgnął i aż pochylił się ze strachu, jakby wyskoczyć myślał. Przytrzymał go ręką silny sługa.

— Kędy to ty prowadzisz? Co to jest? Ja dalipam téj drogi nie pamiętam...

Było milczenie przez moment, chłop się zawahał nieco, ale wnet zuchwałą nadrabiając fantazją, począł wołać:

— Prowadzę was drogą, jaka jest! Dokądże miałbym prowadzić? To najprostsza.. najkrótsza.. A kiedyś pan drogę pamiętał, po co było przewodnika brać?

— Hę? tak mówisz? spytał siadając podróżny. No! to dalej jechać...

Znowu tedy milczeli, aż chłop ni z tego ni z owego, jakby się dopiero przebudził, począł poświstywać..

Woźnica się odwrócił ku panu, a sługa do chłopca, który głowę miał spuszczoną w dół.

— Daj ino pokój temu świstaniu, rzekł pan.

— E! bo mi też markotno, taka czarna noc, gdyby garnek smoły... bąknął przewodnik. Obejrzał się po za siebie dokoła lękliwie, a nim się siedzący na bryce opatrzyli, zsunął się z woza i... przepadł.

— Ha! coś się tu niedobrego święci! zawołał podróżny. Chłopcy, baczność!

Jeszcze nie domówił tych wyrazów, gdy po nad głowami ich z lasu kilka kul świsnęło i ogień błysnął z luf, a konie się zachnęły okrutnie i dyszel u wozu trzasł. Woźnica z całej siły trzymając bystre szkapy, ledwie je zdołał powściągnąć, aż wszystkie postawały słupa, ale na bryce było pogotowiu, pistolety dobyte.

Jeden Hryszka pod wóz się zapakował, bo i bronić się nie miał czém. Razem z hukiem broni ozwały się i wołania z węgierska:

— Stój! poddaj się...

Jakaś ręka z ciemności pochwyciła konie, a inne tuż do wozu już się brały. Wśród nocy nic nie widać było, tylko jakieś postaci migwały ze wszech stron, otaczając podróżnych do koła. Natychmiast na bliższych dano ognia, sługa, pan i woźnica lice ściągawszy, poczęli się odstrzeliwać. Hałas i wrzawa powstały okrutne.

Wpółród nich rozeznać było można i jęki, bo dwóch ludzi osunęło się na ziemię po wystrzale, a podróżny pistolet drugi dobywszy, szablę też trzymał w pogotowiu. Napastników liczby dojrzeć nie było podobna, ale się roili, bo gdy dwóch padło pod wóz ranionych, tuż skoczyli inni. Dano do nich ognia powtórnie, i znowu z krzykiem się zbóje odrzucili precz na chwilę, ale położenie było ciężkie, bo nabijać w nocy ani czasu, ani możliwości nie mieli, a tu rwano bryczkę zewsząd i siła widocznie przeważająca napastowała. Podróżny wszakże nie tracąc przytomności, płaszcz zarzucił na rękę i szabli dobył z pochwy, gotując się do obrony, gdy jakby Opatrzność sama czuwała nad nim, z dala ozwał się głos donośny na drożynie, zdający dodawać otuchy. Z razu nie można było wiedzieć jeszcze czy nie zbójom posiłek przybywa... ale ci odskoczyli od wozu spłoszeni i puścić się chcieli w las, gdy szlachcic nie mogąc wytrzymać palnął za nimi, sługa też, a o kilka kroków z tyłu dwa strzały razem huknęły na nich. W popłochu napastnicy z rannymi pospołu pchali się w krzaki, a tuż sługa zeskoczywszy z wozu, choć się potknął na trupie, jednego z uchodzących pochwycił, a z tyłu nadbiegło dwóch konnych, wołając:

— Dobra nasza! dobra nasza! nie dajta się!

O ile poznać było można po nocy, szlachcic konno nadbiegał właśnie, mając za sobą jeźdnego. Skoczył wnet z konia i jął pomagać słudze, by rannego pochwycić, mimo oporu zbójców, którzy już nie śmiejąc stawić czoła, zostawili go w rękach, a sami pierzchnęli.

Jakiś czas nie można się było opamiętać i rozpatrzeć co się stało. Sługa padł na ziemię na zbója i związał go, własny pas z siebie zerwawszy. W ciemnościach gdzie niegdzie para kłaków od wystrzałów kurzyła się jeszcze. Wszyscy pod wrażeniem téj walki nocnej stali drżący i niemi. Przybyły tylko szlachcic się krzątał krzycząc, ale wesoło i raźnie, jakby niepomierne był rad z tego:

— A! juchy, wołał, a kanalie!... padłoż tam co? jest który schwytyany? Nanieć trzeba ognia, bo tu się omackiem nic nie robi, a paskudztwo jeśli gdzie przyczajone leży koło wozu, to się porozłazi.

Podróżny też począł krzyczeć na skrytego ze strachu pod wóz Hryszkę.

— Hryszka! gdzieżeś tam zalaż?... Ognia nanieć, masz tam kłak co się kurzy, weź siarnika i suchych liści, albo choć siana z wozu. Jest latarnia podróżna.

Dopóki było ciemno, ani się obaczyć, ani rozmówić, ani podziękować, ani przywitać, ani o czém pomyśleć nie było sposobu; dopiero gdy Hryszka, który obok padłego w napaści dogorywającego złodzieja leżał pół żyw sam, dobył się z pod bryki i drżącymi rękami jakoś rozdmuchał światło, rozpatrzyli się zbłąkani co się z nimi stało.

Bryka zatrzymana w wąwozie ze złamanym dyszlem, przechylona trzymała się na kołach, ale dyszel strzaskany leżał między kołmi, które się poplątały, i gdyby nie silna dłoń woźnicy, poszłyby były pozrywawszy się, w las rozbijać. Dokoła ciemna jedlina słupiasto w górę strzelała, spuszczone w dół gałęziami gdzie nie gdzie jakby sposobne do ukrycia tworząc namioty... Około bryki leżał niemal pod kołami konający zbój, czarna bestya, ogorzała, a że był w piersi strzelony i koszulę na sobie z boku poszarpał, całego oblewała posoka... oczy miał wywrócone i białe zębiska zacięte, a włos czarny ze łba na ziemię rozległ szeroko. Drugiego, ale chmyzowszego wiązał rannego sługa, trzeci jęczał nieopodal pod krzem. Chcieli go byli unieść swoi, ale siły nie miał i legł bezwładny.

Szlachcic, który w pomoc na strzały nadażył ze sługą, był chudy, szpakowaty już i nie wyglądał wcale pańsko; twarz miał podługowatą, nos orli i wąs spuścisty. Sługa krępy i gruby co konie trzymał, patrzył dysząc. Patrzali też i pan i woźnica z bryki, jak przybysz nim się przywitał z nimi, poszedł zaraz w oczy zaglądać zbójom na pobojuwisko. A pilno mu snadź było, bo świecąc naprzód podglądał pod wóz i rzekł tylko:

— A no! dobrze, temu się już nie należy wiele, diabli duszę wezmą jak swoją. Hej! héj! Janasz, nie trza ci było pocziwych ciemiężyc, zdrówbyś chodził po świecie.

Poszedł potem pod krzak do dyszącego i zaśmiał się mu w oczy.

— Dobry wieczór Kuźma! héj! a no! dobry, boś na swego trafił... nie łypaj oczami, już mnie nie zjesz! cha! cha!

Aż zbliżył się do związanego i począł mu się przyglądać. Ten wyglądał na cygana i pewno nim był.

— Ten, rzekł, to w gościnę na polowanie przybył czy co? bo go nie znam, ale jak się zawiezie do Czerwonego klasztoru, dowiemy się co zacz. Tych ichmościów już na brykę ładować żal się Boże, bo to trupy, niech tu sobie na wolném powietrzu zdychają.

Obejrzawszy tak wszystko, odwrócił się do stojącego na wozie podróżnego, który fantazyi nie straciwszy pistolety wydmuchywał, podniósł czapeczkę i popatrzyszy nań, począł się uśmiechać.

— Mój bracie, panie a dobrodzieju, podając mu rękę począł ów z wozu: pan Bóg sam cię tu przyniósł nam na pomoc, niech ci podziękuję, niech uściskam.

— Ale kogoż miałem honor? spytał szlachcic.

— A! prawda, w tym rozgardyaszu anim się wam dał poznać. Jestem Podlasiak rodem, więc z daleka, ani mnie ani mojej rodziny znać nie możecie, zowię się Lambert Cieszym Kobyliński z Ćwikłów.

Chciał mówić dalej, gdy słuchający go cofnął się jak rażony w tył parę kroków; zdało się, że z czémś wybuchnie, potem czy się powstrzymał, czy mu to przeszło, z usty otwartemi dalej słuchał.

— Matka mój żony z Węgier była...

Wtém szlachcic machnął ręką i przerwał:

— Co mi mówić będziecie, już to wiem wszystko, a chociaż acindzieja nie miałem honoru znać... te strony i nazwiska nie są mi obce.

— A waćpan dobrodziej z kąd jesteś i jakże?

— Długoby o tém gadać, odłożmy na potem, chmurno odparł szlachcic; pilniejsze są rzeczy do roboty... Zowię się...

Tu się się zająknął, podumał, podniósł głowę i rzekł:

— Nazywam się Jan Czokołd... i kwita, niegdyś bene natus et possessionatus, bywało Litwin, dziś włóczęga... co o tém gadać!

— A coż tu robicie? spytał zdumiony podróżny.

— Co? he! po nocach się włóczę i ludzi od zbójców ratuję, jak widzicie, gorzko się uśmiechając zawołał stary szlachcic. Dajmy pokój rozmowie.

Obejrzał się na dyszel.

— He! dyszel diabli wzięli! rzekł.

— A tak, proszę pana, ozwał się woźnica: jeszcze dobrze, że sworzeń utrzymał, bo dyszel...

— Niewielka rzecz, musicie przecież w drodze mieć siekiere i postronki...

— Mój panie a bracie, cóż tandem dalej począć, czy nocować w lesie przy trupach?

— Ale! co zaś! zawołał szlachcic, jeno mi dajcie się rozgospodarować, pojedziemy na noc do Czerwonego klasztoru, księdza tam znajomego mam, nocleg jeszcze będzie niczego.

— Ale wy?

— A ja was przeprowadzę, wesóło rzekł Czokołd: nie mam nic lepszego do roboty.

To rzekłszy jął się sam ku ludziom, koniom i do dyszla. Dopieroż wszyscy też ruszyli się, inaczéj zabiegając, aby prędzój z téj dziury wyleźć.

Hryszka ognia pilnował, a że się okrutnie ciemności przy trupach lękał, naniecił ognisko, przy którém wołuby upiec było można, i cały obóz oświecił. Dorzucał coraz suchych gałęzi, a las w ich blasku bardzo pięknie wyglądał; ale bliższy oka obraz nie był wcale wdzięczny. Ludzie za nogi zbójców wyciągnawszy kładli ich kopą, związanego żywego rzucili na tego, który już zastygał i drugiego co chrypiał dogorywając. Daléj krzątano się przy wozie, stały konie, ten co był przywiązany z tyłu i dwa Czokołdowe, wachając się a strzygąc uszami. Sam szlachcic o mało nie jak prosty chłop z ludźmi podróżnemu pomagał, a dokładając ręki, gwarzył i pytał.

— Jakżeście się u kaduka w nocy tu dostali?

— Przez moją niepotrzebną ambicję, odparł pan Cieszym. Nie lubię lada jako nocować i lada strachowi ulegać. Chcieli mnie tą drogą i węgierskimi zbójami natrwożyć, wziąłem przewodnika z karczemki. Ten mnie tak ładnie zawiódł...

— Zkąd?

— Z karczemki u Czorsztyna, rzekł sługa.

— Gdzie złodziejska przystań właśnie, odparł Czokołd: no! dobrzeście się wybrali. A kogoż to wam dali na prowodyra?

— Chłopa ze Sromowiec.

— Ani chybi musiał Jonasz być, szepnął szlachcic, a to szajka cyganów i włóczęgów, która na gratkę tylko czatuje. Ale im się dobrze dostało, trzech stracili.

Podbiegł Czokołd ku rannemu a związanemu.

— Ilu was było? gadaj! spytał nachylając się ka niemu.

— Idź precz stary czorcie! zaryczał zbój: jeszcze ci oni, co zostali, kości policzą.

— Albo ja im! rozśmiał się pan Jan. Zobaczymy, na dwoje babka wróżyła.

— Proszę pana, przerwał woźnica, który konie uspakajał i uprzęż poprawiał: ile ja mogłem zmiarkować, musiało ich być bodaj do dziesięciu, za pierwszym strzałem kule świstały niczego.

— Na ten ci to strzał jam pośpieszył, dodał Czokołd.

— Ale zkądże? ale jak? zawołał pan Cieszym.

— E! ja bo tu w okolicy od niejakiego czasu niby mieszkam, wzdychając począł szlachcic. A mam taką naturę, że jak puszczyk noc lubię i włóczyć się po drogach to moja passya. Gdy się strzały rozległy, że drogi dobrze znam, leciałem na przełaj i szczęśliwie też trafił.

— Szczególniej dla mnie, odezwał się przystępując ku niemu Cieszym i pochwyciwszy go w ramiona uściśnął serdecznie. Hryszko! zawołał, już ognia będzie dosyć, bo od niego oślepnjemy, a tu dalej po nocy wlec się potrzeba. Dobądź-no puzderka i daj nam flaszki. Nie prawdaż panie Janie, że po takiej przeprawie kieliszek nie zawadzi?

— I nam i ludziom nawet się święcie należy pogrzebowe, bo zwierzyny dosyć, rzekł wskazując na zbójów leżących na ziemi.

Hryszka tymczasem dobył puzderko, które stało w nogach, otworzył je Cieszym i odetknęto kminkówkę gdańską, którą się poczęstowali. Poszła potem kolój, począwszy od obcego chłopaka, po ludziach służebnych, i duch jakoś rańniejszy zaraz wstąpił we wszystkich.

Dyszel zmocowano tak, że jak mówił Janek, choć do domu mógł dociągnąć, koniska uspokojone dały się zaprządz, i szlachcic miał konia swego dosiąść, ażeby do Czerwonego klasztoru prowadzić, gdy kwestya się wszczęła co tu robić z dyszącym jeszcze zbójcą, którego Kuźmą nazwał? Myśl miano z razu zabrać go i do sądu odstawić, ale gdy na obładowany dobrze wóz przyszło brać jeszcze zbroczonego włóczęgę, ozwał się Cieszym:

— A po co ja go będę za sobą włóczył? Na sądy i rozprawy czasu nie mam; wątpię, żeby się wylizał, niech Pan Bóg sprawiedliwości domierzy. Zostawić go tu z nieboszczykami.

— Toć mi pasa szkoda, przerwał służący, dość go jakim łykiem albo postronkiem okręcić.

Czokołd stał i patrzył zadumany.

— Hm, rzekł z wolna, prawdą a Bogiem, gdyby sprawiedliwość była na świecie, wartoby go dostawić do sądu: jakby wisiał, drudzyby mores znali. Jeno tu w tym kącie jak się zacznie inkwizycya, nie będzie temu końca do sądneho dnia. Może gra świeczki nie warta. Kuźma się wyskrobie, jemuby w łeb palnąć było najbezpieczniój.

— Czorcie ty stary, jęknął ranny, ja tobie tego i w grobie nie zapomnę. Po coś ty tu wlaź? hę? Twoja to była rzecz! Albośmy na ciebie naszli?...

I począł mruczeć i rzucać się, a sługa, któremu snadź o pas szło, wiązał go sznurem, aby zabrać nazad dobro swoje.

— Czego ty na życie moje nastajesz? dodał ranny z gniewem: kiedy swoje może mnie winieneś.

— Dać mu tam pokój, dać mu pokój, rzekł Cieszym, niech sobie zdycha sam.

— Gdyby zdechł, przerwał Czokołd, nicbym nie miał przeciwko temu; ale się wyskrobie i będzie broił.

A miał szlachcic za pasem jeszcze krucicę, i gdy wszyscy osłupiawszy niemal stali nie wiedząc co począć, odwiódł kurek zbliżając się do leżącego Kuźmy, któremu oczy błysnęły białkami.

— Zbóju ty jakiś, wisielcze! rzekł podchodząc, jeśli Pana Boga masz w sercu, westchniěj do niego, aby ci winy przebaczył.

Wtém siedzący już na bryce Cieszym krzyknął:

— Mój dobrodzieju, dajcież mu pokój!

Czokołd jakby nie słyszał.

— Wartoby ci łeb roztrzaskać, rzekł, boś ty już niemało ludzi życia pozbawił, jeno litość bierze. Kuźma! słuchaj! przysiąż, że nie będziesz rozbijał, to ci życie daruję.

Było milczenie, jakby zbój stracił przytomność lub mowę; łypnął potém oczyma i tchnął całą piersią, a ktoby się mu przypatrzył, dostrzegłby, iż z całych sił, choć mu z ran krew płynęła, wyprężył się, aby porwać postronki, które przecież wytrzymały.

— Przysiąż mi, to ci życie daruję, powtórzył Czokołd.

Ten milczał.

— A nie, to palę w łeb jak psu, i przed trybunałem bożym wcale za to nie odpowiem. Gdyby tyle tylko grzechu na duszy...

— Panie Janie, rzucićby go tak...

— Kuźma, gadaj!

Zbliżył się szlachcic z krucicą niemal do twarzy, i dopiero ujrzał, że zbójowi po napróżnym wysileniu z oczu łzy ciekły, pewno raczej ze wściekłości niż skruchy, ale któż łzy pozna z jakiego źródła one płyną? nieraz w życiu mylimy się na nich.

Czokołd się zawahał.

— Płaczesz, rzekł, gdybyżeś za grzechy żałował i pokutował, ale to łzy wilcze.

— No, pal w łeb kiedy masz palić, krzyknął Kuźma; myślisz, że śmierci się złęknę. Patrzałem ja jój a ona mnie w oczy niemało razy.

Szlachcic popatrzał, króciwą podniósł, kurek spuścił z wolna i za pas ją schował.

— Żal mi cię, boś mężny choć zbój, zawołał. Żyj, katem ci być nie chcę, a kiedy ci Pan Bóg męstwo dał, pamiętaj go lepiej używać.

To mówiąc odwrócił się szparko i skinał na sługę, by mu konia dał, na którego raczej skoczył niż go dosiadł, a Cieszym i ludzie jego, którzy na tę scenę patrzali, jakoś odetchnęli lżej. Więc Czokołd z koniem, oba zręczni, wdrapali się na wyższy brzeg parowu, aby brykę stojącą w nim wyminąć; jeno krzyknął szlachcic po za siebie:

— Za mną jechać proszę!

I tak ciemną znowu nocą, bo ognisko dogasało za nimi, powlekli się do Czerwonego klasztoru...

Już było późno w noc, gdy się dobili do gospody, stojącej niedaleko kościoła i opustoszałego naówczas klasztoru. Brama była zamknięta, światła nigdzie, a że w murach też jeden ksiądz staruszek wikary podówczas mieszkał i z obawy napaści wcześniej się zamykał, nie było nadziei, aby się tam dostać można. Czokołd wszakże, który tu wszystkich podobno znał, do okna poszedł i póty w nie na różne sposoby kołatał, aż odpowiedzi się dobił i żyda gospodarza uprosił, aby mu wrota otwarto. Dobrze było, iż głos znany o to się dopraszał, inaczey bowiem po nocy, podstępny się jakiego obawiając, pewnoby żyd nie puścił, a dobrze czas było po doznanych przygodach spocząć ludziom i koniom.

Izba gościnna zwana, wilgotna, znalazła się pustą, a choć w karczmie nic oprócz siana dla koni, razowego chleba i lichego wina węgierskiego nie było można dostać, i to się wielkiem wydało błogosławieństwem.

Służba Cieszyna nawykła do porządku, zabrała się też zaraz po swoim, ażeby oczyścić izdebkę i mieszkalną ją uczynić. Matyas, Hryszka i krępy chłopak towarzyszący Czokołdowi duchem zamietli, stół i ławy przynieśli, świece oparali, a że w bryce była mała baryłka co się zowie dobrego maślaczu, którą sobie wiozł szlachcic, utoczono go do gąsiora, Matyas jajecznicę na prędko usmażył, i już było jak w raju.

Cieszyn raz w raz swojego zbawcę ścisnął, a wpatrywał się w niego czule, ten też z niełatwą ciekawością na pana Lamberta pooglądał, a gdy podle siebie na ławie usiedli, rozmowa się zajęła na dobre.

— Powiedzieliście może, doprawdy, ozwał się Cieszyn, że i Ćwikły znacie. Jakżeby to mogło być? Jam u nas nigdy o Czokołdach nie słyszał.

Szlachcic błysnął oczyma, ale z mową się jakoś wstrzymał, jakby się za język ukąsił.

— Co dziwnego, rzekł, żeście o biednym człeku nie słyszeli. Jam tam bywał, ale krótko gościł. I to wiem, że nie ma lat dwunastu jakżeście Ćwikły kupili, bo one należały, dodał zająknąwszy się, jeśli nie mylę, do Jasieńczyków, Krajewskich.

— A no tak, doskonale pamiętacie. Ależ wy! wy! zawołał Cieszyn, co porabiacie tu na tym Spiżu przeklętym? bo uważam, żeście tu jak w domu.

— Jam wszędzie jak w domu, uśmiechnął się gorzko szlachcic: właśnie dla tego, iż nigdzie go dla mnie nie ma.

I siadłszy na ławie popił wina ze szklanki a zmiłkł.

— Mój bracie, rzekł Cieszyn, jeśli myślicie mnie zbyć lada czém, to się mylicie. Byliśmy razem w przygodzie, mam prawo wiedzieć komu życie winien... a no, być może, iż się lepsza przyjaźń zawiąże, to i... dom mój otwarty smaczniejszy wam będzie, niż te tu dzikie górzyska i życie między zbójami. Jenemu mi swe serce otwórzcie.

Tak mówił Cieszyn, a szlachcic słuchał milczący z głową spuszczoną, i nie znać było, aby serdeczną i szczerą mowę Cieszyna jak należy przyjmował. Długo słowa nie rzekłszy, namyślił się dopiero i począł:

— Są mój dobrodzieju, takie dziwne losy ludzi, że na nie wielkiego serca potrzeba, aby je znieść mogło. Nie chwaląc się, mnie takie spotkały, czy za własne grzechy czy za starsze nademnie... wola boża niezbadana, więc też skarżyć się i pisać nie mężka rzecz; trzeba je znosić w cichości, aby się czarci nie śmieli ze słabości człowieka. O sobie wam powiedzieć wiele nie mogę, tyle tylko, że Czokołdom bodaj lepiej

się działo dawniej, były dobra i dwory, i sługi, i trzos nabity, i wszystkiego dostatek. A gdy się Opatrzności podobało, której drogi niezbadane, odjąć im to wszystko, przeszło to jako sen, znikło i rozsypało się, a człek został sam jak palec, bez rodziny, bez domu, bez domu. A no! mówić o tém niemiło... I oto, dodał po chwili Czokołd, macie przyczynę, czemum się ja do tego kąta zaszył. Bo kraj ten w niczém do mojego dawnego niepodobny, więc mi tu nic nie przypomni lepszego bytu, ani się człek nie otrze o swoich, ani szydzić jest komu. Obcy wśród obcych, jak kamień przy drodze może sobie leżeć. Żle mówię, bobym kamieniem rad był a nie mogę; kamieniem będąc mógłbym i na swój niwie legnąć. A w człowieku gore zawsze coś, co go pędzi, by do roboty jakiegś rwał się, więc też ażeby życie ocalić, ma dosyć pracy.

Cieszym słuchał jakby nie rozumiał i głową kiwał.

— E! e! przerwał, bądźcie bo szczeri. Coż tu robicie? czyście się okupili? gdzie siedzicie?

— Okupili! rozśmiał się Czokołd: okupili! powtórzył raz jeszcze. Nie było za co pomyśleć o tém. Nająłem sobie we dworze w sąsiedztwie izb parę, miejsce w stajni na konie, wziąłem tę kłodę coście widzieli na służbę, i włączę się po Węgrzech i po Spiżu, aby jak życie przeszło.

— Ale coś przecie począć było trzeba aby żyć, a nie macie gospodarstwa?

— To się też czasem zapoluje, czasem końmi pohandluje, bo tego szlachcicowi nie srom, rzekł Czokołd. Na koniach się też dobrze znam, a zarobi się jaka dukatów garść na szkapie, to starczy na czas jakiś, bom nie pieoszony i marcypanów nie potrzebuję.

Westchnął i winem popił.

— Ale wśród téj dziczy, rzekł Cieszym, to już prawdziwie chyba za karę bozką wymieszkać można; jabym tu złoto kopiąc nie wybył. Nie wiem gdzie jaki dwór szlachecki należć, pustkowie takie, życia naszego nie ma, smutno jak na cmentarzu.

— Dla mnie gorszym cmentarzem tamte kraje, gdzie ono życia więcej, ozwał się Czokołd. Tam co krok to mogiła, a tu! ze zbójami i cyganami mieć do czynienia!! Ani swata ani brata, ani nazwiska ludzkiego, ani rodziny. Człek przynajmniej zapomni czasem czém i kim był... ot i lepiej!

Na widok tego smutku, który się z każdym niemal słowem dobywał z człowieka biednego, Cieszym litował mu się bardzo. Wstał z ławy i postąpiwszy ujął go za ręce obie.

— Ej! bracie! zawołał, na prawdę tu w tych górach zdziczeliście, i ta mowa nie nasza, i sentymenta też niezwykajne. Jakaś to mizantropia gdyby mnicha na pokucie; a to mospanie szlachcicowi nie przystało. Tak abdykować i losowi dać za wygraną, nic potem. Im się zмага bardziej na nas ów okrutnik los, tém mu śmielsze stawić trzeba czoło. A widzę, że wam na odwadze nie zbywa, więc co tu długo gadać? Wyście mnie ocalili życie, jabym wam chciał wasze osłodzić.

Czokołd podniósł głowę, popatrzał i szydersko się uśmiechnął ruszając ramionami.

— Mówcie bo jak przed bratem, napierał Cieszym: chyba co na własném sumieniu macie, albo was do téj ucieczki zmusił rygor prawa... he?

Ruszenie ramion było odpowiedzią.

— Źle się domyślacie, rzekł po chwili: na sumieniu nie mam nic, niczyjéj krwi ani krzywdy, mógłbym powrócić kiedybym chciał, jeno nie mam do kogo i po co.

— Panie Janie, prawda to, że się mało znamy, ale spojrzycie mi w twarz, ona też coś mówi; jam zaprawdę nie bardzo zły człowiek. Gdybyście popróbowali na wóz sięść i do Ćwikłów pojechać?

Dziwne było wrażenie, jakie na Czokołdzie uczyniło nazwisko miejsca, bo się wzdrygnął, poruszył i cofnął, jakby się niemal pogniewał.

— Wierzę święcie, odparł: że z was tak dobry człęk jak twarz maluje, ale mój dobrodzieju, i u najlepszego bodaj na łasce nie bywać.

— E! panie Janie, otoż szlachecka buta i zaraz łaska. Tylko pomyśl kto tu komu czyni łaskę: czy ja acindziejowi, czy wy mnie?

— No, no, mruknął Czokołd: już mi tylko dajcie święty pokój, bo to z tego nic nie będzie.

I wstawszy z ławy począł się żywo po izbie przechadzać, aż wtém Cieszym, który zmiłkł trochę posmutniawszy, ozwie się nagle:

— Ale ba! co bo mi to po głowie teraz chodzi! Acindziej Ćwikły znałeś i nasze strony wam nie obce... może macie u nas rodzinę?

— Żywego ducha! prędko i gorąco począł Czokołd: nikogo nie mam, nie wiem... a na całym świecie bodaj czy krewnego mam, chyba po

Adamie.

— No, toć tém lepiej, rzekł Cieszym, a mnie to na myśl przyszło, poczekajcie, abym się nie omylił. Ćwikły nabył mój ojciec od Jasieńczyków Krajewskich. Czeka! ostatniego Krajewskiego matka... ale tak! tak! Litewka była... no! nie myślę się, Czokołodówna.

Pan Jan szybko się zwrócił i popatrzał na śmiejącego się szlachcica.

— Może być, rzekł po chwili, ale ja o tém nie wiem. To wiem, żem ja z Czokołdów ostatni, i że moją tarczę, gdybym ją miał, przyszłoby na grobie skruszyć.

— Czekajcie, nie śpieszcie... jeszcze się możecie ożenić, jeśli nie jesteście żonaci.

— A no tak! w porę, zawołał Czokołd, pokazując siwą głowę podgoloną: w samą porę.

— Wiesz co? rozczulony dodał biorąc go pod rękę pan Lambert: jedź tylko zemną, znajdę ci starą pannę dobrze zakonserwowaną, posażną, poprowadzę do ołtarza i zielona gałązka nowa puści od starego pnia Czokołdowskiego.

— Dziękuję, pokłonił się pan Jan: uniżony, uniżony! jeszczeście mi schowali co mieliście najtwardszego do zgryzienia, starą pannę... Wyc przecie wiedzieć powinniście, że ze starój kury nawet rosół dobry zgotować trudno, a dajecie mi...

Poczęli się śmiać i rozmowa szczęśliwie odwrócona od drażliwego przedmiotu, poszła na dzisiejszą przygodę.

— Już ja to sobie za providencyonalną rzecz uważam, iżem acindzieja w téj przygodzie pochwycił, rzekł Cieszym. Mówcie sobie co chcecie... fata tulere... ja w żadne fata nie wierzę, tylko w Pana Boga, który choć ma wielkie gospodarstwo, ma je też czém sprawować, a rozrządza niém tak, nie przymierzając, jak doskonały włodarz, żeby się wszystko na swém miejscu i w swym czasie działo. Przeto kiedy nawet pajak muchę zjada, myślę, iż mucha nagrzeszyła; kiedy pyłek spada, z którym w krew choroba wpłynie, wie o nim gospodarz; tém ci bardziej gdy się po nocy dwóch ludzi w takim ewencie spotka, jak tu nie widzieć palca Opatrzności, digitus Dei!! A ja Go i w tém widzę, że mi do was panie Janie serce się skłoniło, i że mi zaraz myśl przyszła — a już ci musisz jechać zemną.

— Ale! co znowu! co znowu! zasępiony zawołał Czokołd, który po trosze wino popijał, i dziwna rzecz, gdy lampkę ze stołu brał, rzekłbyś, iż

mu ręka dygotała. Na co mnie ztąd wyciągać, gdzien po trosze zapomniał o wielu smutkach? Powiem waści, dodał z namysłem: serce mnie do was też pociąga, ale sercu ulegać nie potrzeba. Od czegoż rozum, który Pan Bóg włożył na drugą stronę szali? Acindziej mnie nie namawiaj, bo chcąc mi uczynić dobrze, bolu przysporzysz.

— No, to mówże otwarcie, dla czego?

— Hm, zaczął Czokołd, nie ma o czém mówić, zrozumiesz to waćpan łącno z dwu słów: Rodzina dogorzała, straciliśmy mienie, zostały grobowiska i wspomnienia, popioły i żużle, uciekłem od nich, nie kaźże mi wracać, a mówmy o czém inném.

— No, to o czém inném, jeśli się tak podoba, rzekł Cieszym: jedźcie tylko zemną do Krakowa.

— Po co? po co? dajcie mi święty pokój! nie mogę.

— Macie tu gospodarstwo?

— Jakie gospodarstwo? kilkoro koni i po wszystkich.

— Cóż was tu trzyma?

— Zachciałeś acindziej! to co ztamtąd odpędza. A no, dość...

— Więc dość, wasze zdrowie, rzekł Cieszym. A myślicie, dodał wypiwszy, że te zbóje nie będą się na was mściły? hę?

— Tobym dopiero miał gratkę! zacierając ręce cicho ozwał się Czokołd; ale ja o to tylko proszę. Wystawcież sobie, że ja tu z nudów mrę, robić nie ma czego... Jak z końmi na jarmark kilka razy do roku pojedę, sprawa nie długa, a potém doma siedź, bąki strzelaj, koronkę odmawiaj i patrz na lecące wrony. Do nikogo słowa przemówić nie ma! Gdyby zbóje wojnę mi wypowiedziały, toćbym był rad a szczęśliwy, poczęłaby się bieganina, zasadzki, pukanie, rąbanie i życieby mi wypiękniało.

— Toście widzę, jak to my wszyscy po trosze, na awanturki łakomi, zaśmiał się pan Lambert.

— Zrozumiejmy się, przerwał Jan: mnie nie idzie o przygody, ale o robotę. Mój Boże! gdybym miał swój zagon, rolę, chatę, żonę, dzieci, a było gdzie i po co wyniść, czego dopilnować, nie pragnęłoby się ze zbójami wojen prowadzić... Bóg widzi.

— Ale cóż was pozbawiło domu i rodziny?

Na to zapytanie pan Jan głowę opuścił, westchnął, zbliżył się do kubka, popił i zniżonym głosem rzekł:

— Tego się nie mówi!! Wola Boża... wola Pańska... niech będzie błogosławiona.

— Ano, kiedyś asindziej tak niedowierzający i uparty, zaczął Cieszym, nie chcesz mi o sobie nic mówić, to ja się waści wypowiadam.

W téj chwili słudzy wnieśli siano i kobierce do izby, poczynając słać na podłodze. Czokołd się zwrócił i dobył zegarka srebrnego, chcąc zobaczyć godzinę. Wedle obyczaju nosił go na lewej piersi. Jakoś mu nie łatwo było dobyć, macnął... coś zawadzało... opończa była rozdarta, aż na ziemię się coś potoczyło. Ze zdumieniem wielkiem postrzegł, iż to była kula spłaszczona, którą zbój snadź wystrzelił. Byłaby w samo serce ugodziła, gdyby jój zegarek gruby, we dwóch kopertach nie wstrzymał. Spłaszczyły się one wprawdzie i kula za sukno, przebiwszy je, stoczyła się. W gorączce téj Czokołd ani czuł, ani wiedział o niczym. Dopiero ująwszy kulę, a w drugiej ręce trzymając zegarek, aż pobladł z wrażenia.

— Widzicie! rzucając się ku niemu zawołał Cieszym: dla mnieście o mało życia nie postradali.

— Alem szwanku nie poniósł, przemówił siadając na ławie Czokołd, który wciąż trzymając zegarek w ręku, patrzył nań. Wiecie co mnie przejmuję? Ten zegarek, to ostatnia, jedyna po ojcu spuścizna.

— Cożem mówił! załamując ręce krzyknął Cieszym: a nie jestże wszystko opatrzone przez Boga i cudowne!!

— A któż temu przeczy! mruknął Jan dobywając z trudnością cebuli staréj, która w pogiętych mocno kopertach ugrzęzła, ale oparła się mimo tego szwanku kuli, odmawiała dalej swe nieustanne pacierze. — I zegarek idzie! zawołał zdumiony Czokołd... Przyłożył do ucha, starowina gdakał wesoło jak przedtém. Cieszym, który już był swego złotego dobył, aby zastąpić rozbity, zawahał się i schował go do kieszeni zawstydzony.

Dobry czas Czokołd milczał, potem zegarek pocałował i obok posłania go złożył z pistoletami, a jał się krzątać jakby mu się na sen zbierało. Cieszym też rozdziewał się z wolna i sakwy dobrze nabite pod poduszki pakował. Brzęknęły węgierskie dukaty.

— Nie głupi ludzie, szepnął z cicha do pana Jana: widzi mi się, że to była rzecz obmyślona i bodaj czy się jeszcze na baczności mieć nie potrzeba. Musieli wiedzieć zbójce, że nie próżen jechał, bom część

posagowej summy odebrał w obrączkowych, i byliby się co się zowie pożywili.

— Jeśli tak, odparł Czokołd, nie bardzo tu zasypiać bezpiecznie. Kto wie czy na samotną gospodę nocą się nie poważą. Do dnia jeszcze dobre cztery godziny, a okolica pusta.

— Ale ludzie czuwać będą, a jest ich półczwarta, ozwał się Cieszym, i nas dwu niczego... Więc w gospodzie oprzemy się choćby i dziesięciu.

— Tylko, że ich tu i trzydziesta być bardzo mogło, rzekł Jan cicho. Jeśli wiedzą, że obłów dobry być może, tałajstwa tego nabierać im tu łatwo, a żaden z nich życia bardzo szanować nie ma powodu, bo je tylko winien temu, że się w pocziwe ręce nie dostał.

— No, no, nabijmy pistolety, odparł podróżny, reszta już jak się Bogu podoba. Światła nie będziemy gasili, a noc przy lampeczce przegawędzimy.

Poczęła się tedy znowu taka łamana rozmowa jak wprzód.

— Gdybyś waćpan tylko zemną w odwiedziny pojechał, rzekł szlachcic podlaski, tobyś się w moich Ćwikłach zakochał jak ja i już z nich nie wylazł. A byłoby ci u mnie jak u Boga za piecem.

Czokołd nie mówiąc nic, głową tylko kiwał; zatém siedli na pół, na poły legli na sianie.

— Majętność to nie nasza rodowa, bo Cieszymy i Kobylin wzięli starsi z familii, a mój ojczysko poszedł się dorabiać w świat, jak to u nas bywało zwykle, gdy się rozrodziła szlachta i zagonem dalej dzielić już było trudno. Ojciec mój służywał wojskowo, potém dzierżawami chodził, a na ostatek przyzbierawszy grosza, od ostatniego bodaj z Krajewskich Jasieńczyków Ćwikły kupił.

Opowiadając tak spojrział mimowolnie na Czokołda, który w ręku trzymał jeszcze zegarek i słuchał zaciąwszy usta, a dwie perliste łzy toczyły mu się po zwiędłych policzkach. Dostrzegłszy ich Cieszym przestał mówić, żal mu się zrobiło tego starego biedaka, któremu mimo zahartowania łzy się z pod powiek a raczej z pod serca dobywały. Pomiarkował wszakże, iż pocieszać a zważać na nie byłoby jeszcze pogorszyło żalność; postanowił zagadywać, aby go rozerwał. Nie miał też o czém lepszym rozpowiadać tylko o swych Ćwikłach.

— Nie byłem ja przy rodzicu nieboszczyku gdy się Ćwikły kupowały, nie wiem jak tam do tego przyszło, że się ich Krajewski zbył, bo

podobno nie bez żalu się z niemi rozstawał; ale nie dziwuję mu się... bo to prawdziwe złote jabłko.

Spojrzał na Czokołda, a temu wciąż łzy płynęły, więc udając, że o nich nic nie wie, ciągnął dalej:

— Już to u nas na Podlasiu, mospanie, jedno z dwojga: albo jak się majątek uda, to będzie taki, że mu żaden w świecie nie zrówna, albo jak lichy, to chyba gorszy być nie może. A Ćwikłom się udało i nie darmo tak nazwane, bo buraki sadzić choćby z końca w koniec można. Ziemia pyszna... pszenicę rodzi i bez miotły... co posiejesz to ci się uda. W posuchę nie wypali bardzo, a na mokre lata jest głowa i rowy... To wszystko nic, choć już bardzo wiele. A no, człowiekowi, gospodarzowi co na wsi żyje i rzadko z niej jak ślimak ze skorupy się dobędzie, trzeba żeby skorupa była gładka. Czegoż tu brakuje? miły Boże! Dwór i przysada pyszna... ogród, lipy, wirydarze, szpalery, sadzawki... istnie pańskie, bo stary Krajewski był człek z głową i gustem, a jeśli się zrujnował, to chyba na to, że z Ćwikłów pańską rezydencję chciał uczynić.

Westchnienie wyrwało się z piersi Czokołda; spojrzał znowu ukradkiem Lambert, łzy ciekły, ale jakby spalone na policzkach zawisły. Możeby był zatrzymał się, ale gdy o majątku raz począł mówić, już mu się powściągnąć było trudno. Więc mówił dalej, myśląc tylko w duchu, że szlachcic musiał ojca bardzo kochać, gdy tak nad tą pamiątką po nim łzy ronił.

— Dwór i przysady musicie zobaczyć, mówił, boć kiedykolwiek odwiedzicie tego, któremuście życie i mienie ocalili.

— Ale, co znowu! mruknął Czokołd; jam tylko po harapie przybył.

— No, no! a ja ciągnę już dalej, rzekł Lambert. Dwór, zobaczycie, zabudowania, jakich na około nie ma na mil dwadzieścia... Kapliczka pod bokiem... wszystko to już ludzkich rąk praca, ale Bóg dał, że jeno ptasiego mleka braknie. Dokoła bory, i masz tak, że w jedną stronę dębina i lipina i graby i gąszcze, a w drugą las sosnowy jak świece... Maszty z nich ciosać! Już tam tego w złą godzinę poszło trochę do Gdańska... ale niewiele, i ja żałuję lasu, a bronię go teraz jak oka w głowie. Zwierzyny jakiej chcesz dostaniesz, sarna, dzik, ryś, głuszce i cietrzewie... kuropatw tysiącami. Łąki bujne, woda, młyny... glina, piasek... czego dusza zapragnie, i pobudować się i opalić i najeść jest

czém. Lud w okolicy dobry, pracowity, słowem żyć tylko i Pana Boga chwalić... takie moje Ćwikły.

Popatrział znowu, szlachcic wprawdzie nie płakał, ale mu się policzki paliły i oczy płonęły, i był tak zamyślony, jak gdyby nie słuchał już co mu mówiono. Cieszym zaś uparłszy się, by go rozerwać, malował mu szczęście swoje, myśląc, że niém go z życiem pogodzi.

— Nie mogę się na mój los skarżyć, rzekł po chwilce. Po ojcu mi się dostał majątek ten... po żonie, której matka była bogata, bo córka magnata węgierskiego Szerhennego...

Czokołd spojrział bystro na sąsiada, i jak siedział na ziemi, zerwał się równemi nogami... Cieszym zdziwiony podniósł się.

— Co to jegomości? co?

— Co ma być? rozpatrując się w posłaniu zawołał Jan: ukłóło mnie coś, czy ukąsiło...

Ale choć się zaczerwienił, siadł zaraz i milczał.

— To matka żony acindzieja była... zapewne żona sędziego Piętki? zapytał od niechcienia.

— A tak, Teklusia moja właśnie też Piętkówna jest z domu.

Ale dalej już nie mógł mówić, bo odwróciwszy się Czokołd, ujął się za głowę i począł mruzczyć, że go boli.

— Radbym spoczął, rzekł cicho i jakby złamanym głosem: tylko, że nam czuwać wypada.

— No, to ja z ludźmi zostanę na straży, żywo podchwycił Cieszym, a acindziej spocznięj, proszę. Mnie nic nie jest, a do bezsenności nawykłem.

Już się miał też kłaść na sianie szlachcic, gdy mu coś do głowy przyszło; podniósł się na łokciu i spytał:

— A żyje też matka żony waćpana?

— Żyje, dzięki Bogu, odpowiedział Cieszym; tylko prawdę rzekłszy, takie życie nazwiska tego nie warte. Od śmierci męża zamknęła się w domu, gdyby w klasztorze, i uczyniła z niego istny klasztor, a życie spędza na postach, modlitwie i całkiem odosobniona, bo nawet często córce się z nią widzieć trudno, a co o mnie to już nie ma co i mówić. To też my do niéj raz ledwie na rok dojedziemy, a czasem trafiwszy w złą godzinę, dwa dni siedzimy, widzieć się z nią nie mogąc. Nie mam ci ja

nic przeciwko niej, bo kobieta dobra, ale od fantazyi u niej wszystko i miłość i nienawiść...

Niewiadomo co się Czokołodowi stało, snadź był zmęczony, choć się nie przyznawał, bo ręką oczy i twarz przysłoniwszy, niby się zdawał usypiać. Cieszym dokończywszy pogadanki cichym głosem, sam też z wolna na pośłanie się zsunął, ręce pod głowę założył i tak leżąc zadumał się głęboko. Sąsiad zasypiał zapewne, bo tylko oddech ciężki, niekiedy jakby westchnieniem cięższém jeszcze przerywamy, słysząc było z piersi jego...

W gospodzie milczenie nastało głębokie, a ze stajni dochodziło tylko kiedy niekiedy chrapanie koni i prychanie... i szepty służby, która spać już ani myślała iść, rozpowiadając sobie nocną swą przygodę.

Nazajutrz dzień był już jasny i słońce pogodne weszło po chmurnej nocy, gdy się panowie w izbie przebudzili. Czuwali snadź do białego dnia, a ludzie też usnąć nie mogli, i dopiero się to wszystko o dziennym brzasku ruszać zaczęło. Służba ledwie się cokolwiek przedrzemać czas miała, bo rano trzeba było konie napoić i opatrzyć, i mieć wszystko pogotowiu, znali bowiem pana Lamberta, że zasypiać nie lubił i dnia napróżno strawić nie cierpiał, a w podróży korzystał z każdej godziny. Gdy do dnia wrota otwarto, aby konie do wody wywieść, wcisnął się jakiś człowieczyna ciekawy, z kusa po węgiersku ubrany ubogo, który niby wódki chciał u żyda, ale w istocie długo się taborowi przypatrywał, służbę zaczepiał, rozgadać próbował, a milczeniem zbyty odszedłszy, powrócił za chwilę z drugim takim drabem jak sam. We dwóch im się wszakże nie lepiej udało, bo ze służby pana Kobylińskiego nic dobyć nie mogli. Było to u niego prawidłem, że w podróży nie mówiono nigdy pytającym nazwiska pana, a ciekawych żartami odprawiano. Owi dwaj ludzie stali długo we wrotach, przyglądali się prowadzonym koniom, szeptali coś między sobą i poszli nareszcie. Już szli precz od gospody, gdy Czokołd właśnie wstawszy, w oknie stanął pacierze mówić, i nawinęli mu się na oczy. Skinął na Cieszym Kobylińskiego i pokazał mu ich palcem w milczeniu.

— Patrz asindziej, szepnął żegnając się ukończywszy zdrowaśki: oto tych dwóch do was wczoraj z innymi strzelało. Są znane włóczęgi wysłane na wzwiady, choć teraz wam już nic nie zrobią.

— Nie bardzom się bał i nie lękam też dziś po dniu białym, ale bracie kochany do Krakowa drogi kawał srogi jeszcze, gościńce puste... Gdybyście mnie przeprowadzili, dalipan nie byłoby nie tak od rzeczy.

— Jeśli chcecie, do Nowego Targu pojedę, odezwał się Czokołd, a ztamtąd już na Myslenice droga bezpieczna i ja wam niepotrzebny.

Cieszym rzucił mu się na szyję i począł go ścisnąć.

— Tyś mi bracie teraz potrzebny zawsze, i tęskno mi będzie po tobie, zawołał patrząc mu w oczy z natężeniem. Krótko się znamy, prawda, ale jużemy razem przez ogień przeszli... E! gdybyście się namówili te puhacze góry rzucić, a do Ćwikłów pojechać, dałbym wam gościnne pokoje i mielibyście jakby własny dom i gospodarstwo.

Człowiek, do którego tak czule przemawiał pocziwy pan Lambert, prawdę rzekłszy, dopiero teraz o białym dniu, jakby po raz pierwszy był dlań widoczny. Wczoraj o mdłym świetle ani jego rysów, ani twarzy wyrazu dobrze dojrzeć nie mógł, a wiadomo jak noc zmienia i ukrywa ludzkie oblicza; wpatrywał się więc w niego ciekawie. Twarz to była sympatyczna, miła, ale dziwnie zniszczona i smutna, poorana, ogorzała i jakby z wielkiego boju wyszła. Nie znalazł na niej kres od szablic, ani blizn od postrzałów, a mimo to czuć było, iż do niej losy strzelały i razów wzięła od nich niemało. Gdy po pierwszy raz ukazała się nocą w świetle rozpalonego ogniska, ona też sama rozplomieniona była i zaogniona gniewem, aż do szału dzikiego i namiętnego posuniętym; później, czasu opowiadania wieczornego, miała wyraz boleściwy wielce i przybity; teraz o świetle dziennym przedstawiała się z osobliwszą jeszcze cechą strasznego znużenia i prawie zdrętwienia. Niegdyś musiał to być nawet bardzo piękny mężczyzna, wieku trudno już było odgadnąć, bo zaszedł w te lata, gdy między półwiekiem a siódmym krzyżykiem nie znać prawie różnicy. Siłę w nim jeszcze było czuć, raczej wypróbowaną i utrzymywaną ciągle niż starganą i zużytą, ale ochoty do żywota prawie żadnej. Niebieskie oczy jego niegdyś musiały być piękne i wyraziste, teraz je rozmiękle otaczały powieki; usta miał zaciśnięte szydersko, czoło obnażone wysokie. Gdy mówił, to mu się wszakże twarz tak mieniła, iż z jednego człeka kilku urastało a coraz innych, póki pierwszy nie wrócił.

Pilno mu się pan Lambert przypatrywał, bo czuł, że w tym człowieku była jakaś tajemnica, jakieś nieszczęście, co go złamało, i rad był dociec

a dowiedzieć się czegoś z niego, ale ten był, mimo rubaszości i otwartości pozornej, zamknięty.

Nawzajem też popatrzał ów Czokołd na nowego przyjaciela, i od razu z czoła, ust, uśmiechu jasnego człowieka przeczytał jak książkę, bo tu znowu nie było nic zaciemnionego, i jak go widzisz tak go pisz, cały od razu ci stał jak go Pan Bóg stworzył. Ani kłamać, ani się taić, ani różnych postaw przybierać nie umiał. Człowiek szczęśliwy, śmiał się do świata jak świat do niego. Życie dlań nie miało tajemnic, on też nie potrzebował nic ukrywać. Z téj pogodnej twarzy promieniała uczciwość, tryskała dobroć, a nie brak też w niej było rozumu.

Gdy Cieszym ścisnął serdecznie swojego zbawcę, jak go nazywał, ten ledwie mu się do ramienia przychylił, i zbywszy krótko czułość, rzekł:

— Teraz trzeba iść i konie opatrzyć, bom moją szkapę zdał na człeka, a kto wie jak ją oporządził.

— Gdyby była zmęczona lub niezdrowa, weźmiecie mojego, pośpieszył Cieszym: szedł luźno za wozem, ręczę wam, że do jazdy lepszego nie znajdziecie w całym kraju. I tak jam go w myśli dla was przeznaczył, aby tego wieczoru została wam pamiątka, a przecież nie odmówicie mi...

Czokołd się wyprostował i popatrzał w oczy panu Lambertowi.

— No, tak... nie odmówię, odparł; ale słuszna dla obu pamiątka: konie pohandlujemy. Popróbujecie go potem, nie chwałę się, ale też konisko niczego.

Cieszym się zaczerwienił, bo mu się wstyd zrobiło, — ścisnęli się za ręce.

— Dziś, rzekł, oba konie naprawdę luzem muszą iść, bo wy zemną na wozie pojedziecie; po co się tłuc na siodle?...

— Toście wy widzę od kulbaki odwykli, bo ja mówię, po cobym się na wozie miał strząść? pojedę konno, bom przywykł do konia, jeno waszego okulbaczyć sobie każę, kiedyśmy pomieniali, abym wypróbował, jak chodzi.

To mówiąc, wyszedł do stajni... Kobyliński został sam i zamyślił się. Dwa razy już z ubogim szlachcicem, który mu tak ochoczo i serdecznie życie ocalił, nie udało się. Chciał najprzód oddać zegarek złoty, który wart był jakie sto czerwonych złotych, bo na urząd robiony był w Paryżu, potem konia ofiarował i na tym się ośliznął. Dusza znowu znieść jakoś nie mogła, żeby czémś wdzięczności nie okazał. Dumna sztuka choć

widocznie hołysz, Czokołd nie chciał nic przyjąć, a panu Lambertowi tak się z nim rozstać było markotno. Im tamten uparciiej odmawiał, tém się jemu mocniej chciało koniecznie coś ofiarować. Ale co? O pieniądzach choćby sporych widocznie ani myśleć było można. Pochodził po izbie i w końcu sobie rzekł w duchu: „Pojedzie zemną do Nowego Targu, ztamtąd go do Krakowa zabiorę, a chybaby już bardzo źle było zemną, żebym konceptu w głowie i w rozmowie nie trafił na skazówkę co mu tu dać. Dobrze jakieś człeczysko; gdyby się dał namówić na Ćwikły, wziąłbym go z sobą, jednakże rezydenta żadnego nie mam, a na słotne dni dobrodziejstwemby było mieć kogo w domu na pogadankę lub maryasza.”

Trzeba było wszakże resztę zdać na losy szczęśliwe.

Po chwili Czokołd powrócił zasępiony.

— Pięknyście handel zrobili, rzekł, a tobym sumienia nie miał od was tego konia brać. Mój ci dobry i młody, ale to ogier i wielkiej krwi i lalka, a mój nie wygląda pokaźnie. Jaki pan taki kram, przejechać go przejadę, ale nie wezmę. Dla mnie taki koń, paradyer, na nic się nie zdał; ludziom nadto w oczy wpada, wydelikacony być musi.

— Uchowaj Boże, rzekł były właściciel konia: to krew wytrzymała i szkapa silna, a handel raz zrobiony, gdyby koniowi przyszło w łeb wypalić, już go nie tknę.

Popatrzeni na się... Czokołd ramionami ruszył, byliby się może posprzeczali, gdy drzwi się otworzyły, i żyd arendarz podnosząc jarmułkę, wtoczył się do izby...

A był zezowaty i okrutnie brzydki, broda ryża w dodatku, krzyż zgięty jakby z niego kto postronek kręcić próbował i porzucił. Pokłonił się kilka razy, nim do słowa bełkocąc przyszedł.

— Co to jaśnie pan chce jechać?

— Albo co? spytał Cieszym.

— To jaśnie pan, nie będzie na komissyę czekał?

— Na jaką?

— Przecie jakaś musi być, względem tego co wczoraj się stało... Jaśnie pan powinien posiedzieć i deponować co i jak... a inaczej to będzie kłopot... Już dziś z lasu rano dali znać do urzędu, że dwa trupy leżą nade drogą...

— Niechże sobie urząd zjeżdża i robi z niemi co chce, bo ja czasu na to nie mam, odpowiedział szlachcic...

— Ja się później sam rozmówię o to, dodał Czokołd, bom tutejszy... Byłem przy bitwie, potrafię opowiedzieć, a podróżnego nie ma po co w drodze wstrzymywać. Skrzywił się arendarz, miał snadź jakąś rachubę na zwłoce, oczy jeszcze więcej skosił, ustami pokręcił, chciał coś jeszcze mówić, pan Lambert go opłaciwszy wyprowadził.

Bryczka już stała przed gospodą i koń osiodłany dla Czokołda, siedli więc oba i w Imię Boże ruszyli. Z karczmy żyd, a z za węglów jakieś twarze blade długo za niemi patrzyły, jakby za uchodzącą z rąk zdobyczą, na którą rachowano daremnie.

Jeden nawet z tych włóczęgów rękę podniósł do góry i pięścią pogroził, ale nikt tego nie widział.

Dzień do podróży był jakby umyślnie zamówiony, słońce świeciło jasno i wietrzyk chłodzący powiewał, konie prychały i biegły ochoczo, okolica też powoli coraz się ożywiała. Szlachcic jechał przy wozie tak, że z panem Cieszymem rozmawiać po trosze mogli. Gadało się oczywiście, mając ludzi za świadki i słuchacze, o rzeczach obojętnych tylko, a mimo to ludzie się w nich coraz lepiej poznawali.

Czokołd zrzucając ową posępną swą twarz, coraz się stawał weselszy, z koniem się pieścił, dokazywał po trosze, żartował, ludzi zaczepiał, Hryszkę małego drażnił za wczorajszy strach i schronienie pod wozem, słowem i ubawił pana Cieszymę, i podobał mu się, i za serce go schwycił. Z téj strony go jeszcze nie znał, a dziwnie kwalifikowało go to na doskonałego rezydenta. Postanowił więc w duchu koniecznie zabrać go do Ćwikłów.

Z Nowego Targu nie sposób się było oprzeć. Czokołd wyściskany, umodlony zgodził się dojechać do Krakowa. Pan Kobyliński, który często wtedy na Węgry przejeżdżał, miał tu gospodę na Kazimierzu, której właściciel był krewnym arendarza trzymającego w Ćwiklach karczmy i młyny. Był tu więc jakby u siebie w domu.

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

